

Nili Amit

A miałam być
księżniczką z bajki...

tłumaczenie autoryzowane
Katka Mazurczak

Wydawnictwo Austeria
Kraków • Budapeszt 2011

Maćkowi

Edukacja wrocławska



Wychowanie jak wiadomo rozpoczyna się we wczesnym dzieciństwie. Psycholodzy twierdzą, że jesteśmy całkowicie ukształtowani już w wieku trzech lat. Problem w tym, że nie pamiętamy wiele z tego okresu, a to, co dociera do nas potem, jest dezinformacją, bo płynie z różnych niewiarygodnych i podejrzanych źródeł. Idź, znajdź rodzica, który publicznie przyzna się, że coś sknocił. Tak, byliśmy tymi czarującymi dziećmi, ale *to se uz nevrati*, bo potem wyrosliśmy i staliśmy się tymi nieznośnymi, bezczelnymi stworzeniami, które kręcą im się po domu.

Opowieści o czasach zamierzonego dzieciństwa to zwykle pochwalne peany naszych rodziców wygłaszane na swoją cześć, w których przeciwstawiają swą dobrą pracę wychowawczą naszym nieudolnym wysiłkom, gdy wzięliśmy sprawy w swoje ręce i popsuliśmy im cały macierzysty (i ojczysty) plan.

Należy mieć niezwykle czujne ucho i umiejętność analizy naukowej, aby z tych mitów o wspaniałych rodzicach-herosach wyłuskać ziarenko prawdy historycznej.

Oficjalny mit o moim przyjściu na świat, taki, jaki został opublikowany przez odnośne władze (czyli moich rodziców), głosi, że urodziłam się za górami, za lasami, gdzieś tam, na Uralu, jako dziecko pary polskich uchodźców, ocalałych cudem z Holokaustu dzięki ucieczce do ZSRR. Para ta postanawia uczcić zwycięstwo państw alianckich przez spłodzenie potomka. Jednakże tożsamość moich prawdziwych rodziców, jak i samo urodzenie owiane jest mgłą tajemnicy, gdyż pierwszą czynnością wykonaną przez mojego zszokowanego ojca, po tym jak pokazuje mu owoc jego lędzwi, jest napisanie podania do szpitala w celu wymiany mnie na inne dziecko. Jest przekonany bowiem, że nastąpiła pomyłka, bo jego piękna małżonka nie mogła urodzić tak szkaradnego stworzenia.

Dyrekcja szpitala wykazuje zrozumienie dla jego stanu psychicznego, łączy wyrazy sympatii, lecz twardo i niezmiennie obstaje przy swoim, że nie zaszła w tym wypadku żadna pomyłka.

Być może dziecko ma wygląd mongoloidalny – twierdzi – lecz pozostałe niemowlaki są autentycznymi Mongołami o ciemnej karnacji i skośnych oczach, a ich matki nie są zainteresowane handlem wymiennym. Moi biedni rodzice zostają nabici w butelkę i obarczeni dziewczynką – rudzielcem o niebieskich oczach i kartoflanym nosku.

Trudne warunki wychowywania niemowląt w azjatyckiej części ZSRR powodują, że początkom mojego życia towarzyszy

cykl „niemalże katastrof”, z których ja, na podobieństwo mitologicznych herosów, ratuję się cudem dzięki interwencji *deus ex machina* (czytaj: muzyków, u których mieszkamy). Mama przez pomyłkę sadza mnie na rozpalonym piecu kuchennym, potem omal nie duszę się w wiejskiej łaźni parowej. W drodze powrotnej do Polski zaś, w czasie podróży bydłącym wagonem, matka dostaje wrzodu na piersi i traci mleko.

Na tym etapie wędrówki w wagonie pojawia się koza – która woli pozostać anonimowa – natomiast ja z podziwu godnym samozaparciem, które już wówczas mnie cechuje, odmawiam picia jej mleka. W przeciwieństwie do boga Zeusa, wykarmionego przez kozę Amalteę, stwierdzam, że zapach i smak koziego mleka są obrzydliwe. Mój bohaterski i uzasadniony strajk głodowy zostaje jednak siłą złamany przez odnośne władze. Obrażona koza nie pozostawia mi przez zemstę rogu obfitości.

Tak oto po kilku tygodniach tułania się pociągiem, na przekór wszystkim trudnościom, udaje się domniemanym rodzicom dowiedzieć mnie całą i zdrową na ziemię polską. Znów wnikliwa lektura między wierszami ujawni, że po daremnych próbach zarówno podmienienia, jak i pozbycia się mnie za pomocą wszystkich możliwych sposobów, takich jak: spalenie, zatopienie i głodzenie, najwyraźniej dochodzą do wniosku, że nie da się mnie tak łatwo pozbyć.

Ponieważ moja obecność jest teraz niepodważalnym faktem, zostaje podniesiona paląca kwestia, w jaki sposób należy mnie wychować. Władze obawiają się wyprodukowania

wybrakowanego towaru zwanego „rozpieszczoną jedynaczką”, stworu, który nie przyniesie żadnego pożytku społeczeństwu. Po uwzględnieniu ostatnich badań naukowych w dziedzinie edukacji oraz wielu aspektów praktycznych, rodzice optują za postępową drogą wychowawczą, która jest ciekawą hybrydą spartańskiej szkoły Likurga oraz rewolucyjnej metody wielkiego sowieckiego pedagoga, Makarenki.

Hasłem przewodnim tej „doktryny” pedagogicznej jest maksyma **DZIECI I RYBY GŁOSU NIE MAJĄ**. To dźwięczne przesłanie ma oczywiście znaczenie dwuznaczne: dosłownie zabrania ono odzywać się, zwłaszcza w obecności dorosłych, *implicite* zaś zakazuje także wyrażania poglądów, zwłaszcza tych, które różnią się od zdania władz. Wiele zachodu wymagało wdrożenia tego sloganu w życie – co prawda podporządkowują się mu karpie pływające czasem w naszej wannie, lecz w moim wypadku, okazuje się wewnętrznie sprzeczny. Jestem gadułą i mądrałą, więc polecenie trzymania buzi na kłódkę kłóci się z próbą karmienia mnie na siłę, sytuacją, w której obowiązuje pozycja ust otwartych.

Karmienie dożyłne, rozwiązanie proste i eleganckie, nie zostało jeszcze wtedy wynalezione, otrzymuję zatem polecenia bez mała mylące, a wręcz sobie przeczące: „Zamknij buzię! Otwórz buzię! Cicho bądź! Otwórz, tak, otwórz buzię szeroko! Patrz, ptaszek, ptaszek...! Jedna za mamę, druga za tatę...” – tutaj kończy się lista krewnych i nie ma tak bardzo za kogo połykać kolejnej łyżeczki klusek na mleku. Sprytnie wykorzystując ten fakt demograficzny i jawne kłamstwo o ptaszku, wrzeszcząc w niebogłosey, odmawiam dalszego jedzenia obrzydliwej kaszy manny pokrytej kożuchem, fuj!



*U góry: Pierwsze zdjęcie rodzinne.
Poniżej: Wystawa Ziem Odzyskanych.*



Moi rodzice są świadomi tego, że edukacja składa się z części formalnej, za którą, wedle ich najlepszej wiedzy, odpowiedzialne są instytucje rządzące, oraz z edukacji nieformalnej, która z pewnością jest czymś problemem, czym, nie do końca wiedzą, ale z pewnością nie ich.

Para ta przoduje natomiast na polu krzewienia kultury, czego przykładem jest zabieranie mnie do opery, gdzie zasypiam z nudów, bądź ciąganie mnie na przedstawienia w jidysz, języku bogatym i soczystym, którym niestety nie władam.

Ze sztuk pięknych w owym czasie interesuje mnie tylko taniec. Na okragło podskakuję i podśpiewuję. Wszystkie dziewczynki, które znam, chodzą na lekcje baletu klasycznego w żydowskim domu kultury. Noszą śliczne spódniczki z białego tiulu. Tak, to jest właśnie to, co tygryski lubią najbardziej! „Błagam was, proszę, obiecuję pić mleko zmieszane z tranem, tykać kozuchy, pić surowe jajka, tylko zapiszcie mnie na lekcje baletu!”

Pomimo ponawiania próśb odnośnie władze odrzucają również i tę moją petycję – jak zwykle bez uzasadnienia odmowy. W przyszłości odkryję przyczynę tych bezdusznych decyzji: moja matka, będąca w tym czasie kierowniczką komitetu kulturalnego TSKŻ*, obawiała się, że przez wzgląd na jej wysoką pozycję będą mi przydzielane – niesłusznie – wszystkie pierwszoplanowe role i solówki.

* TSKŻ – Towarzystwo Społeczno Kulturalne Żydów w Polsce. Kiedy zapytałam mamę po latach, co konkretnie robiła w TSKŻ-ecie, odpowiedziała: „Znałam język polski”.

Fot. na następnej stronie: Na rowerku z ojcem. »



Ambicje córki zderzyły się oto z dobrem kolektywu i ja, koziół (koza?) ofiarny walki z nepotyzmem, jestem zmiażdżona w wyniku chorego poczucia sprawiedliwości mojej matki.

Wejście do systemu edukacji formalnej, jako uczennicy pierwszej klasy, nastąpiło prawą nogą. Każdy dzień szkolny rozpoczynamy od porannego apelu i odśpiewania *Międzynarodówki*. *Ruszymy z posad bryłę świata!* – tak, wszystko jest możliwe, nowy mundurek marynarski i śliczny granatowy fartuszek z białym pikowym kołnierzykiem sprawiają, że do nauki podchodzę z zapalem. Mam świetną pamięć i ładny charakter pisma, więc wkrótce zostaję prymuską, najlepszą uczennicą, nawet opowiadają o moich sukcesach w programie radiowym. Spełniam się też towarzysko – mam dużo fajnych kolegów i koleżanek, a kiedy nasza klasa wstępuje do harcerstwa, zostaję wybrana większością głosów na zastępową.

Oczywiście, nie wszystko jest cukierkowo-różowe, mam też kłopoty, ale względnie łatwo udaje mi się większość z nich wyeliminować. Przede wszystkim kwestia dotarcia do szkoły mieszczącej się dość daleko – trzy czy cztery przystanki tramwajem. Wrocław w tym czasie leży w gruzach, zawsze też na każdej ulicy czai się co najmniej dwóch zataczających się pijaków – wkład polskiej awangardy w krajobraz ruchomy. A więc jest i daleko, i strasznie, ale w Sparcie dzieci chodzą wszędzie piechotą (bo to zdrowo), dlatego nie dostaję pieniędzy na tramwaj. Drobnostka, i tak zawsze jeżdżę na gapę, przemieszczając się szybko z jednego wagonu do drugiego, gdy tylko widzę kanara. Dla większej pewności, w razie gdyby mnie złapali, mam w kieszeni 2 złote, które dostałam raz od „przyszywanej” ciotki Chany. Ta litościwa kobieta przyuważyła, że „lody bez choroby”, które kupują mi

rodzice składają się z pustych wafli (kulka lodów, jak wiadomo, powoduje natychmiastowe i śmiertelne zapalenie płuc), ukradkiem więc wsuwa mi do kieszeni parę monet.

Następnym problemem jest śniadanie. Z czasem i na ten temat mogłabym napisać przewodnik zatytułowany: „Jak w pięciu łatwych krokach pozbyć się śniadania”. Najpierw należy zaopatrzyć się w starą gazetę. Nadmieniam tu, że demokracje ludowe nie darzyły zaufaniem papieru toaletowego. Każdy kawałek gazety przechowywało się skrupulatnie, aby tym samym dowieść kapitalistom, że świat socjalistyczny pozostawia ich daleko w tyle w dziedzinie recyklingu. Zgłaszam się zatem na ochotnika do cięcia gazet na kwadraty i w trakcie tej czynności zawsze udaje mi się ukryć parę wydań w tornistrze. Zaraz więc po wyjściu rodziców do pracy, zamykamy drzwi na klucz i przez sitko wylewamy do zlewu mleko z ohydnej kaszki manny lub lanych klusek. To, co pozostało, owijamy w gazetę. Płuczemy sitko i odkładamy na miejsce. Na ulicy przyjazną środowisku małą paczuszkę kładziemy na jakimś płocie lub parapecie okna i podążamy ochoczo do szkoły, jak gdyby nigdy nic. Drugie śniadanie w formie obrzydliwych dwu kromek chleba zlepionych cukrem wyrzucamy do śmieci w drodze powrotnej.

Trzeci problem wiąże się z mą chorobliwą niechęcią do odrabiania lekcji. Odkąd nauczyłam się czytać, każda chwila, która nie jest poświęcona książkom, jest chwilą straconą. W klasie siedzę teraz w ostatniej ławce i czytam spod blatu. Walczę z okrutnymi Rzymianami wraz z uczniami Spartakusa, rozwiązuję zagadki z Sherlockiem Holmesem, płynę pod Samotnym Białym Zaglem. Nie mam czasu na takie głupoty, jak podsumowanie



*Pierwsza klasa szkoły TPD, przy ulicy Trzebnickiej we Wrocławiu.
Z wieloma kolegami utrzymuję kontakty do dzisiaj.*

Autorka pierwsza od prawej w środkowym rzędzie.

lekcji albo pisanie wypracowań w stylu „Jak spędziłam wakacje w Krynicy Zdroju”.

Także ten problem szybko rozwiązuję, co prawda mało oryginalnie, ale z całą skromnością mogę stwierdzić, że sztukę czytania na głos z pustych zeszytów doprowadziłam do bardzo wysokiego poziomu.

Do dwóch ważnych aspektów edukacji nieformalnej – duchowego i cielesnego – władze się nie wtrącały. Ogólnie wiadomo, że przyroda nie znosi próżni, dlatego w wychowanie duchowe w krótkim czasie ingerują gosposie-opiekunki, mieszkające u nas w domu. Wszystkie bez wyjątku są żarliwymi katoliczkami, które regularnie uczęszczają do kościoła i, rozumie się,ciągają mnie tam ze sobą.

Uczą mnie modlitw i opowiadają o Matce Boskiej i Jezusie Chrystusie. Jedna z nich przejęta swą misją nawracania niewiernych postanawia załatwić nam obu wejście do raju i namawia mnie, żebym się ochrzciła. Wizja choinki z bombkami i sukienki do pierwszej komunii zwalcza wszystkie możliwe wahania, ale sympatyczny i roztropny ksiądz nie wyraża zgody na chrzest bez wiedzy rodziców. Brawurowy plan ocalenia mojej duszy kończy się porażką. Rodzice znajdują pod moim materacem schowek z modlitewnikami i wyrzucają je, jak również i gosposię.

Innym aspektem edukacji, wymagającym szczegółowego planowania i bardzo absorbującym, jest czas wolny (rodziców). Aby podnieść jakość swoich wakacji, władze wręczają mi dekret dotyczący mego oddalenia się od domu na okres letnich miesięcy.

Spędzam je na wsi w spartańskich warunkach, z początku w towarzystwie nianiek, a potem na koloniach w odległych miejscach.

Pierwsze kolonie letnie, na które w wieku siedmiu lat wysyłają mnie moi zwariowani rodzice, organizowane są przez pracodawcę mojego taty – Ministerstwo Leśnictwa. Tata jest jedynym Żydem w całym biurze, a ja jedynym żydowskim dzieckiem na koloniach. Nigdy do tej pory nie miałam problemu ze swoim pochodzeniem. Chodziłam do żydowskiego przedszkola, a w naszej szkole TPD 80 procent uczniów było Żydami. Nagle znalazłam się w całkowicie odmiennej sytuacji.

Już pierwszego wieczoru ogarnia mnie poczucie wyobcowania – w dużej sali sypialnej wszystkie dziewczynki klękają obok swoich łóżek i zaczynają odmawiać pacierze. W ostatniej chwili ja też padam na kolana i dziękuję w duchu wszystkim byłym opiekunkom, które nauczyły mnie chrześcijańskich modlitw. Dziewczynka z sąsiedniego łóżka zauważa, że nie noszę krzyżyka ani żadnego medalika. Kiedy wyjaśniam jej, że łańcuszek jest właśnie w naprawie, ta sympatyczna osóbką od razu pożycza mi swój „zapasowy” łańcuszek. Wizerunek Matki Boskiej na szyi to moje „aryjskie papiery” na ten miesiąc, lecz przez cały czas towarzyszy mi strach, co się stanie, jeśli wyjdzie na jaw moja prawdziwa tożsamość?

Wiedza o cielesności, rzecz jasna w teorii, należy do edukacji nieformalnej, to jest do szarej strefy, która wybiega poza zakres odpowiedzialności rodziców. Znów, według prawa zachowania się próżni, strzępki informacji na ten temat wyłapuję „z ulicy”, czytaj: od wszystkich dzieciaków, z którymi stykam się na podwórku, w szkole czy na koloniach... W naszym domu

nie dość, że nie było wychowania seksualnego, to nawet najmniejsza aluzja w tej sprawie stanowiła „tabu”. Zdziwiające, w jaki sposób już w młodym wieku dzieci czują, co wolno opowiadać, a czego nie (nie wspominając o tym, co wolno, a czego nie wolno robić). Przecież nie mówiliśmy po powrocie do domu: „Dzisiaj bawiłam się z Witkiem w «pokaż mi swoją, a ja ci pokażę swojego»”.

Kiedy miałam dziesięć lat, na obozie zimowym dziewczyny ze starszaków odkryły przede mną tajemnicę, jak się robi dzieci. Jestem oczywiście totalnie zszokowana, z początku nie chcę wierzyć, ale coś mimo wszystko szepcze mi, że one mówią prawdę, bo przecież nie można wymyślić czegoś tak pokręconego i okropnego. To znaczy, że wszyscy tak robią? Także mój tata? Nie umiem pogodzić się z tym strasliwym odkryciem i tej nocy nie mogę zasnąć. W końcu dochodzę do wniosku, że nawet, jeśli to jest prawda, to jest jeden człowiek, który na pewno tego nie robi – towarzysz Stalin.

O świcie nachodzą mnie pierwsze wątpliwości. Wiem, że Stalin ma dzieci; jego syn, pilot Wasilij, jest bohaterem wojennym, a piękna córka Swietłana – wzorem i przykładem dla każdej dziewczynki bloku wschodniego. A skoro on ma dzieci, to znaczy, że... O nie! Nasz uwielbiony wąsaty Wódz, który tak kocha wszystkie dzieci świata... On też??? To znaczy, że skoro i on robi to obrzydlistwo, to może wcale nie jest taki doskonały, jak sądziłam. Jeśli zaś nie jest doskonały, to bardzo być może, że komunizm nie jest do końca tą czystą i szlachetną doktryną, w którą do tej pory tak mocno wierzyłam.

W mojej duszy zalegają się wątpliwości i heretyckie myśli o reżimie, na którego czele stoi człowiek tak zdemoralizowany.

Za pomocą prostego sylogizmu odsłaniam prawdziwe oblicze Słońca Narodów i wyprzedzam tym samym o rok rewelacje Chruszczowa z XX Zjazdu partii komunistycznej. Good-bye Stalin!!!!!!!

Mój duchowy świat został zdruzgotany, staję się człowiekiem złamanym, wypalonym i zagubionym, poszukuję metafizycznego znaczenia wszechświata. Zarówno oficjalny system wychowania, jak i ten nieformalny poniosły porażkę i obnażyły swoją nagość. Postanawiam, że nie będę już dłużej polegać na podejrzanym systemie wychowawczym dwojga pedagogów-dyletantów, z którymi przyszło mi mieszkać, ani na metodach edukacyjnych skorumpowanej biurokracji państwowej – „*Wyklęty, powstań ludu ziemi!*”. Od tej pory całą odpowiedzialność za moje wychowanie biorę we własne ręce. Już ja im pokażę!